

Agata  
Tuszyńska  
Ćwiczenia  
z utręty



MARGINESY

a

**Agata  
Tuszyńska  
Ćwiczenia  
z utraty**

MARGINESY



COPYRIGHT © BY Agata Tuszyńska

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2021

I że Cię nie opuszczę

jesteś moim losem  
jesteś moją książką  
jesteś moim życiem



MĘŻCZYZNA, KTÓREGO KOCHAM I Z KTÓRYM MIAŁAM się zestarzeć, jest śmiertelnie chory. Wyrok jest jednoznaczny. Nie było zwiastunów. W geście obrony mówimy o miłości. Będziemy walczyć, będziemy razem. Nie poddamy się.

Brzmi egzotycznie. Pięknie. *Glioblastoma multiforme*, najbardziej drapieżny z istniejących nowotworów mózgu. Stopień złośliwości czwarty, także najbardziej uprzywilejowany. Nie daje szans, zabija w ciągu kilku miesięcy.

Nie było znaków. Nie było ostrzeżeń.

Tego nie można dotknąć słowem, myślałam.

Po raz pierwszy, odkąd pamiętam, S Ł O W O jest bezsilne. Jest odklejone od rzeczywistości, jaką miałyby ogarnąć, której mogłoby lub miałyby nieść ulgę. Nie władam już słowem. Nie sprawdziło się. Rozpacz nie zna słów.

To musi zostać dotknięte słowem. Nie umiem wyjaśnić tej konieczności.

Dzieliliśmy życie przez kilkanaście lat. Między kontynentami, z daleka, kawałkami wydzieranymi z pracowitego czasu nas obojga, dnie, tydzień, rzadko więcej, bo obowiązki, odpowiedzialność, zależności, jego dzieci, moi studenci, tłumaczenia, książki. Nasz czas miał się właśnie zacząć. Wybraliśmy dla siebie wspólny warszawski adres.

Tymczasem w torontońskim szpitalu oglądamy na komputerowym ekranie ciemne przekroje jego głowy. Pierwszy, drugi, dziesiąty, piętnasty. Guz przypomina potężną rozgwiadzę, której ramiona

próbują objąć jak najrozleglejszą przestrzeń. Uciska nerwy wzroku. Nie przeszkadza rozumieć. Chirurg precyzyjnie dobiera słowa ostateczne. Mają nam pomóc w uporządkowaniu świata. Doczesność może już wkrótce przestać nas dotyczyć.

Boski Scenarzysta – który planuje, który doświadcza, w którego nie wierzę, którego nie ma (jest) – zastawił na nas pułapkę.

Będziemy walczyć. Wbrew losowi, medycynie, statystykom.  
Chcemy ocaleć.

Minął rok tej drogi. Dzień po dniu, bezsenność po bezsenności, wieczór promocyjny *Rodzinnej historii lęku*, spełnienie mojego literackiego marzenia i jego przy mnie bliskości, dwa tygodnie później droga za ocean, Wielki Piątek, lotniska, Wielkanoc w poczekalni i samolocie, szpital, nowotwór, który zabije, ja przy nim, na jakim świecie, jaki to świat, operacja, najdłuższe sześć godzin pod drzwiami, przebudzenie.

Otwarto mu głowę dwukrotnie w ciągu miesiąca, umierał, zmarł, zmartwychwstał, pobraliśmy się także po dwakroć, po czternastu wspólnych latach, na inwalidzkim wózku i pod chupą, gdzie przyjąłem imię mojej zabitej kawałkiem szrapnela w końcu wojny babki.

Płakaliśmy. Płakaliśmy nad sobą, nad losem.

Płakano nad nami. Płakano nad sobą. Los trwa.

Spędził kilka miesięcy na szpitalnym łóżku. Oboje obcy we wszechświecie choroby. On upokorzony zależnością. Ja zdziwiona umiejętnością przystosowań. Jego powrót do dzieciństwa. Zmiana ról. Bunt wobec świata, poczucie krzywdy. Uprawianie nadziei wbrew wszystkiemu i wszystkim, bo rozstanie jest niemożliwe, bo cierpienie musi mieć sens. Bo nie chcemy się poddać. Wola życia pilnuje daru życia. Jeszcze ciągle.

Przeżyliśmy. Przeżyliśmy jego śmierć.

JEGO E-MAIL PRZYSZEDŁ RANO 23 MARCA 2005.  
Wielki Tydzień, środa. *Jestem w szpitalu. Podejrzewają guza mózgu.  
Nie przyjeżdżaj. Będę informował.*

Pomyślałam: żart? Mógłby być tak okrutny? Możliwość, że to prawda, była zbyt absurdalna.

H. wyleciał z Warszawy kilka dni wcześniej, w pełni sił. Trochę narzekał na zmęczenie i ból głowy. Wcześniej też narzekał. Za dużo pracuje. Zbyt wiele lotów do Azji, nerwy, wysiłek, bezustanne napięcie, zmiany stref czasu i przestrzeni.

Nie byłam niespokojna kilka dni wcześniej, kiedy mówił przez telefon o bólu prawego oka i drobnej stłuczce samochodowej. Zdarza się, myślałam, nawet takim doświadczonym kierowcom. Nie zastanawiałam się nad migreną i wizytą na pogotowiu. Dostał zastrzyk, wrócił do domu. Nie miałam przeczuć. Nie wydawało mi się podejrzane skierowanie do okulisty. Był czwartek wieczór, świąteczny tydzień wielkanocny. O dalszym przebiegu wypadków dowiedziałam się dopiero po przylocie. Ostry dyżur na neurochirurgii, guz uciskający nerw wzroku, badania, testy, prześwietlenia. Noc.

Wiadomość na ekranie komputera. Wpatruję się w nią. Nie znika. Szydzi ze mnie. Z nas.

Zadzwoiłam do mamy. Zadzwoiłam do ojca. Rozpłakałam się. Zadzwoiłam do Ewy, najbliższej. Nie mogłam mówić. Wypiłam duży kieliszek martela. Zarezerwowałam bilet na pierwszy lot do Toronto. W Wielką Sobotę przed Wielką Nocą. Przez Frankfurt.

4 KWIETNIA 2005

Dziesięć dni od ostatecznej diagnozy mówię do Ciebie, stale do Ciebie mówię:

Ukochany, nie wymyślilibyśmy nigdy tej tortury. Stało się. Zrobię wszystko, żebyś był zdrow. Żebyś był sobą dawnym. Takiego Cię mam, pamiętam, Kocham.

Znajduję wszystkie słowa czułości, przypominam je sobie, deklinuję, szepczę Ci je, kiedy leżysz tu obok, jeszcze obok. Nasza sypialnia ma wielkie okna otwarte na ogród i światło. Twoja głowa na poduszce. Cała. Jak odmieniona, odkąd wiemy, że coś ją trawi od środka. Czym jest to coś? Szukam lęku w Twojej twarzy i nie znajduję go. Może cień, echo w oczach.

Będziemy się kochać. Będziemy razem pracować. Pisać, czytać, myśleć. Będziemy podróżować i jeździć na nartach. Wierzę. Wierzysz? Tak musi być. Jesteśmy silni. Sobą. Miłością. Wytrzymaj.

Kocham Cię. Chcę być z Tobą zawsze i wszędzie. Nie ma nikogo droższego na świecie. Wiedz to. Pamiętaj. I pozwól sobie pomóc.

Będzie ślub. Będziemy mężem i żoną. Będziemy mieć wszystko, czego dotąd nie mieliśmy.

Będę Twoją podporą. Bo Ty mnie wybrałeś, bo ja wybrałam Ciebie. Kocham Cię i podziwiam, i wiem, że sama nie potrafiłabym być tak dzielna. Mówisz, że miłość to dawanie. Nigdy przedtem tak silnie tego nie czułam. Weź moją głowę, mój mózg, ale bądź przy mnie. Wszystko przecierpimy, przetrwamy. Musimy sprostać losowi. Oboje. Nie pozwolę zrobić nam krzywdy.



14 KWIETNIA 2005

E-mail Henryka do przyjaciół – Obietnica

Mili, obiecałem, że napiszę, więc piszę parę słów.

1. Dobroć i ciepło ludzkie, które mnie ostatnio otoczyły, są wypisz wymaluj z pogodnych książeczek mojego radosnego, stalinowskiego dzieciństwa. Mój przyjaciel mówi mi, że tyle przyjemności od ludzi naraz nieprędko się zdarzy i że powinienem się cieszyć, bo zdecydowanie było warto. Tylko nie całkiem rozumie, dlaczego tak długo z tym czekałem.

2. Mam przy tym poczucie pewnego – znacznego – dyskomfortu psychicznego. Nie muszę tłumaczyć, że najbardziej na świecie lubię ludziom mówić, co mają myśleć – ale zawsze w kwestiach, które mogą wzbudzić jakąś namiętność, a przynajmniej zainteresowanie. Tu jest inaczej i powiem szczerze, że cała sprawa wydaje mi się prostacka, mechanistyczna, pozbawiona elementu narracji literackiej i nieskończenie powtarzalna, jeśli wyłączyć nazwę i nieciekawe w gruncie rzeczy szczegóły. Więc skoro nie ma w tym literatury czy opowieści, to jest to z definicji trywialne, a poza tym leży w sferze fizycznej prywatności – jak, wybaczenie, szczegóły dotyczące wypróżnienia, jakie niektórzy pacjenci z lubością relacjonują lekarzom. „Pani mi te pigułki zapisała i potem przez trzy dni do ubikacji nie mogłem”. Czy naprawdę tego ktoś ode mnie oczekuje? Mam wrażenie, że w jakimś sensie tak.

3. Skonfrontowałem się z nieznaną mi dotąd potrzebą wiedzy natychmiastowej. „Jak będziemy wiedzieć, czy się obudziłeś?” Jak się nie obudzę, to na pewno będziecie wiedzieć, bo to przy najmniej będzie ciekawe. Niestety, szanse są mniej niż nikłe. „Jak będziemy wiedzieć, jak się czujesz?” Otóż odkryłem w sobie zdolności przewidywania przyszłości i wszystkich zainteresowanych mogę już dziś poinformować z bardzo wysoką dawką prawdopodobieństwa, że czuć się będę chujowo – tak jak każdy, któremu wykonano skrobankę w alternatywnym miejscu, a konkretnie we łbie. Ale potem będę się czuł lepiej i pewnie znowu coś napiszę.

4. Jedynym w miarę interesującym elementem narracyjnym wydaje mi się fakt, że to tak bardzo pasuje do mojej własnej wizji siebie – czy za mój nikczemny charakter i jednoznacznie paskudną osobowość odpowiada świństwo, które sobie tam z pojedynczej zmutowanej komórki wyhodowałem? Nauka twierdzi inaczej, ale science fiction zawsze się takimi pytaniami bawiło. Osoby zainteresowane prewencją paskudztwa chciałbym zapewnić, że nie ma z tym nic wspólnego ani stres, ani tłuszczuk od szynki, ani telefony komórkowe, ani całe lata gauloise'ów bez filtra, ani wojaże do Chin czy złe prowadzenie się. Nic z tych rzeczy. Nie są za to odpowiedzialne żadne przyjemności. Przeczytałem o siedemnastoletnim Nepalczyku, który nigdy nie widział żarówki elektrycznej, i o mojej rodaczce, osiemdziesięcioletniej Eskimosce z igloo, która spędziła życie na żuciu kawałków morsa. Nie byłem w Nepalu i nie jadłem morsa.  
Na dziś, Wasz H.

26 MARCA 2005

Uwięziona we Frankfurcie, spóźniłam się na samolot dziewięć minut, reperacja sprężarki na lotnisku w Warszawie. Pech, przeznaczenie. Samotna Wielkanoc na lotnisku. Znak czego?

Kim jestem w międzyplanetarnej przestrzeni frankfurckiego lotniska? Lecę do Ciebie natychmiast, bez wahania i bez wołania. Nie mogę inaczej. Kim jestem? Twoją kobietą, kochanką, niedosłą żoną. Niezrealizowaną matką naszych nieistniejących dzieci. Wykonawczynią marzeń czy testamentu śmiertelnej choroby?

27 marca, 10.30

Jem pisanek w dworcowej lotniczej kantine. Różowo-fioletowa. Z kim się nią podzielić?

Tłumy ludzi dookoła, pasażerowie niedoli.

Mam kartę pokładową. Może polecę.

Wesołych Świąt. Nigdy nie wiedziałam, do czego służą święta. Jakiej mają sprostać radości?

„Wiara może wygrać niepojęte – pisze Karola. – Teoretyczną odpowiedź znam: trzeba umieć zaufać. Wierzyć, szczególnie gdy logika zawodzi”.

Deklinacja: bezsenność, bezsens, bezsilność, bezwolność, bezradność.

Ale wy wierzycie w Niebo. Ja nie. Dlatego nie pozwolę, żeby H. nas zostawił.

PRZYWITAŁEŚ MNIE W DOMU. Była Wielkanoc i pozostanie w szpitalu wobec świątecznego grafiku miało się z celem. Nie czekało nas żadne filozoficzne rozwiązanie onkologicznej diagnozy, żadna rewelacja leczenia ani ulga decyzji. Przytuliłeś mnie jakoś mimochodem, powiedziałaś: „Dobrze, że jesteś” – i oznajmiłeś, że przed nami wielka wojna.

Wykładałeś koncepcje walki, planowałeś przetrwanie: „Jest źle, bydlę złośliwe w głowie, ale ja to pokonam, obiecuję, przyrzekam, nie ma wątpliwości, że z tego wyjdę. Przy waszej pomocy, z wami, dla was, nie ma cienia wątpliwości. Jestem przygotowany na paskudny proceder, przeżyję, nie poddam się. Nie pokona mnie to. Nie boję się walki”.

Mówiłeś do mnie raz, drugi, piąty, mówiłeś do swoich dwóch synów, czternasto- i osiemnastoletniego, do ich matki, do przyjaciół, do wszystkich razem i każdego z osobna. Bezpośrednio i przez telefon. „Dam radę. Obiecuję. Muszę”.

Powtórzyłeś zdanie Franka, przyjaciela, który stoczył wieloletnią walkę z przeszczepem wątroby: „Masz teraz jedyny cel, jedno zadanie, skoncentruj się na sobie, zmobilizuj wszystkie siły, ty jesteś najważniejszy. Walcz o siebie. Zapomnij o innych obowiązkach. Teraz winien jesteś troskę jedynie sobie”.

Nikt nigdy nie mówił Ci, jak żyć. Nikt nie ośmielił się powiedzieć, jak miałbyś umierać. To Twoja sprawa, Twój los, Twój charakter pisma i Twój wyraz twarzy. Umierania nie ma, nie istnieje. Przyrzekałeś mi opiekę i miłość, nie może stać się inaczej.

WIDZISZ TYLKO TO, CO PRZED TOBĄ. Nic po bokach. Utrata pola widzenia. Nagle stałeś się jak koń z klapkami na oczach, Ty, który widziałeś wszystko i zdawałeś się mieć nie jedną, lecz kilka par oczu. A na pewno jedną z tyłu głowy.

I dalej.

„Nie będę prowadził wozu”.

Ty – pasjonat motoryzacji, który za samochody, ich linię, modele, barwę oddałbyś wiele – teraz nonszalancko mówisz: „Trudno. Już nigdy. Są gorsze zmartwienia.

Nie będę mógł się opalać, leżeć nad wodą, pójść na spacer po plaży. Ale przecież i tak nie lubiłem. Byłem uczulony, pamiętasz?

Alkohol? Nawet kieliszka wina? Może i lepiej”.

Godziłeś się bez skargi, bez zmrużenia oka na kolejne etapy utraty. Na jedno nie zgodziłeś się nigdy: na bezwolne czekanie na śmierć. Bez wahania podjąłeś decyzję.

15 KWIETNIA 2005

Co robić przez tych sześć godzin, kiedy ekipa w białych fartuchach będzie stała nad Twoją rozplataną głową? Nie wiem. Zostawiłam Cię w sali przypominającej chłodnię. Rozebrali Cię. Anestezjolodzy zadawali stale te same pytania, na które monotonnie odpowiadałeś. Imię, nazwisko, data urodzenia, adres, przebyte choroby, metalowe części w ciele. Uczulenia. Siedziałam obok. Długie przygotowania. Tuliłam Twoją głowę, włosy ostrzygł fryzjer poprzedniego dnia, nie chciałeś szpitalnych usług na tym polu. Nie płakałam i nie płaczę. Jeszcze nie teraz. W końcu trzeba iść. Odwożą Cię. Do zobaczenia za kilka godzin. Pamiętaj, pamiętaj Piotra Płaksina, zaczniemy od początku. „Na stacji Chandra Unyńska / Gdzieś w mordobijskim powiecie, / Telegrafista Piotr Płaksin / Nie umiał grać na klawniecie”. Tuwim nam pomoże. Nasz wiersz, nasz znak. Że to Ty, że pamiętasz. Że my. Patrzę za Tobą. Wychodzę, kiedy żelazne łóżko na kółkach znika za drzwiami. Czas na modlitwę. Nie umiem się modlić. A może nie mam do kogo. Człowiek jest moim Bogiem. Jak Cię okaleczą, co zabiorą? Ana czeka na dole.

Jestem w środku i na zewnątrz tego obrazu.

PIERWSZĄ WZMIANKĘ O MÓZGU ZNALEZIONO w staroegipskim papirusie, określanym przez historyków medycyny jako najstarszy podręcznik chirurgii. Zwój ma około pięciu metrów, zakupił go w 1862 roku w Luksorze amerykański kolekcjoner Edwin Smith. Pół wieku później odczytał go ówczesny dyrektor zakładu orientalistyki w Chicago. Szczególnie interesujące wydały mu się opisy uszkodzeń głowy, jakim ulegali niewolnicy pracujący przy budowie piramid. Autor papirusu stwierdzał jednoznacznie, że urazy czaszki mogły mieć poważne następstwa, na przykład powłóczenie nogą lub porażenie nerwu twarzowego.

Ale Egipcjanie i Mezopotamczycy, Hebrajczycy, a nawet sam Homer za siedlisko inteligencji oraz uczuć uznawali serce, nie mózg (*enképhalos*).

Mózg zbadali po raz pierwszy dwaj greccy lekarze, którzy przybyli z Aleksandrii, głównego ośrodka handlowego i kulturalnego hellenistycznego Wschodu. Było to ponad dwadzieścia lat po śmierci Arystotelesa.

Król Ptolemeusz I Soter około roku 300 p.n.e. powołał jednego z nich, Herofilosa z Chalcedonu, na stanowisko lekarza przybocznego. Pierwszy anatom i jego asystent prowadzili szeroko zakrojone studia anatomiczne. Herofilos opisał mózg i mózdzek, opony mózgowe, komory mózgu. Prawidłowo rozpoznał, że nerwy związane są zarówno z mózgiem, jak i rdzeniem kręgowym. Przeniósł siedzibę duszy do komór mózgowych.

TEGO GUZA NIE MOŻNA USUNĄĆ W CAŁOŚCI, JEST jak gwiazda. Wygrzebali trzon albo rdzeń, albo jądro ciemności. Ramiona gwiazdy-rozgwiazdy, jej szpony, wczepione są w miękką tkankę mózgu, nie sposób okroić ich wedle rysunku, jak wycinankę łowicką. Każde dotknięcie skalpela w tym miejscu ograbia nas z czułości, cierpliwości, łagodności. Nacina to, co najdelikatniejsze.

Po kilku dniach stawiasz pierwsze kroki. Jeszcze później ćwiczysz lewą rękę, przekładając z prawa na lewo przyklepione do taśmy migdały. Za oknem kwietniowy śnieg. Trenujesz sprawność ciała. Walczysz ze słabością i zmęczeniem.

Jestem przy Tobie, bo jest Ci źle, bo jest zimno, ciężko, bo masz trzydzieści kilka klamer na głowie, bo uczysz się chodzić. Bo dygocze lewa dłoń, lewa noga odmawia posłuszeństwa. Bo jestem Twoja, bo jesteś mój. Bo nie umiemy się poddać. Stale słyszę Twój płacz, choć nie płakałeś. Ani wtedy, ani później.

Nie interesują mnie statystyki. Nie jesteś ich częścią. Nie chcę wiedzieć, że w XXI wieku jeden na trzech mężczyzn i jedna z czterech kobiet chorują na raka. Pięć milionów ludzi rocznie umiera na choroby nowotworowe. 55 procent zachorowań odnotowywanych jest w krajach rozwiniętych. Nie interesują mnie statystyki. Także te, które mówią, że *glioblastoma* zabija natychmiast.



KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC. Czas, którego nie pamiętam. Uderzona. W szoku. Jak podłączona do prądu. Działalam, wiedziałam, że muszę działać, karmiłam, prałam, wyłam, przebierałam, po-  
iłam, głaskałam, płakałam, wykonywałam konieczne czynności. Jak we śnie, w koszmarze, kamienna. Trwałam. Do dna bólu. Rozpacz głową o ścianę. A potem nie było już ścian.

Tygodnie paniki, zaciśnięte serce, wszystko „w uderzeniu”, na granicy poczytalności. Transpanika, nie na zwykłym poziomie reakcji i uczuć, ponad ziemią.

Zapomniałam o sobie. Moje życie zostało zawieszona na czas walki. Nieograniczony czas. Uczelnia, seminaria, studenci. Projekty, podróże, książki. Jestem dla niego i przy nim. Wielki ciężar i jedyne rozwiązanie. Nie myślałam ani przez chwilę o innym. Służba pomocnicza w walce o życie. Mój los stanął. Mój los stał się jego losem. Może taki był cel naszego spotkania?

KILKA DNI PRZED OPERACJĄ PRZYJMOWALIŚMY GOŚCI. Po raz kolejny bawiłeś ich opowieścią o naszym pierwszym spotkaniu w Nowym Jorku późną jesienią 1991. Zaprosiłeś mnie – za namową naszej paryskiej koleżanki – na kolację. Pojawiła się – tak opowiadałeś – kobieta w przebraniu Rumunki (w innych wersjach to była Bułgarka), zakutana w czarne szale, niemal niewidoczna („Musiałem ją rozpakować, zanim zobaczyłem, co jest w środku”). Wedle kulturowanej przez Ciebie legendy mimo prestiżowego stypendium wyglądałam na zagłodzoną i pochłonęłam tego wieczoru obfitą i kosztowną kolację oraz dwa desery. W drodze do restauracji miałam się rzucić z nienaturalnym łakomstwem na pieczone kasztany na Piątej Alei.

Śmieszyła mnie po latach ta historia, opowiadana w coraz to nowych wariantach, choć najpierw wściekała do żywego, bo ubrałam się w najlepsze palto z Mody Polskiej plus szykowne chusty śląskie i specjalnie pożyczoną od mojej koleżanki, ortodoksyjnej Żydówki, ciemną bufiastą sukienkę, która wydawała mi się wówczas szczytem elegancji, i oczekiwałam odpowiedniej reakcji na moje wdzięki.

Już wtedy miałam wrażenie, że walory umysłowe interesowały Cię bardziej niż cokolwiek innego. Zadawałeś setki pytań i egzekwowałeś odpowiedzi. Podobało mi się to.

Nie obiecywałam sobie wiele po tej znajomości. Byłam śmiertelnie zakochana w kimś innym i właściwie udałam się na tę randkę z czystej przekory i ciekawości, co też się stanie.

Po kilku godzinach rozmowy o tym, kim i skąd jesteśmy, oboje wiedzieliśmy tego wieczoru, że stało się coś, co odmieni nasze życie.

Mówiliśmy o Isaacu Singerze (pracowałam nad książką o nim, nie rozumiałeś, jak mogłam wybrać podobnego przewodnika po

żydowskim świecie, Ty, świecki inteligent) i o Hłasce, który był pisarzem Twojej młodości i którego talent podziwiałeś („Czy wiesz, że *Pętlę* napisał, mając 22 lata?”), o Osieckiej i Mazurach, atmosferze Warszawy wczesnych lat sześćdziesiątych (Twoja młodość, moje dzieciństwo). Powiedziałeś mi o Marcu i okolicznościach Twojego wyjazdu z Polski w wyniku antysemitki nagonki, a ja – czego wówczas nie robiłam często ani chętnie – dałam Ci do zrozumienia, że ciemne oczy mojej mamy mają drugie dno – getta, żółtej łaty, ukrywania się.

Wiedzieliśmy oboje.

Ty wcześniej. Ja nieco później. Ciebie trafiło jak piorun, ja potrzebowałam czasu. Zarzucałam Ci nawet, że to pycha, że podobasz się sobie w stanie zakochania, niezłomny rycerz pokonujący bariery, większy niż los, do którego został skrojony.

Potem były setki purpurowych róż, dostarczane do mojego nowojorskiego mieszkania przez dorodnego czarnoskórego posłańca. Stale ten sam i z tym samym tajemniczym (pytającym) uśmiechem, jakby chciał wiedzieć, kiedy ulegnę. Po tygodniach pospiesznych, nienasyconych telefonów, po miesiącach niezliczonych pocztówek każdego dnia i wyjazdach na weekendy na Florydę. Po tym, kiedy dzwoniłam do Ciebie w nocy z Nowego Jorku do Toronto, bo syczały kaloryfery (w Twoich opowieściach żądałam natychmiastowej interwencji), po tym, kiedy przylatywałeś na kilka godzin, żeby kupić mi ciepłą kurtkę lub zamszowe półbuty w Bloomingdale’s albo zawieźć mnie do Catskills na – jak je nazywałeś – żydowskie kolonie (pilnie uczyłam się wówczas tradycji, religii, alfabetu i tańców moich przodków). Czasem pojawiałeś się po prostu bez zapowiedzi, dzwoniąc z rogu ulicy, że jest do spróbowania nowe australijskie chardonnay albo nowa powieść Rotha, którą natychmiast trzeba...

Powoli, powoli stawaliśmy się nałogowcami wzajemnej obecności.

Nie, nie trzeba mnie było przeciągać na żydowską stronę, ale fakt, że spotkaliśmy się w Nowym Jorku i w takiej, a nie innej sekwencji własnych losów – moje intensywne odkrywanie genealogicznych węzłów, Twoje rodzinne zaplątanie i odnowiona fascynacja Polską – sprawiły, że zrodziło się to coś. Jak pochodnia.

Tego wieczoru recytowałeś przy stole po rosyjsku wiersz Konstantina Simonowa z 1941 roku. Żołnierz idzie na wojnę i prosi swoją kobietę, żeby na niego czekała. *Ždi mienia, ja wiernus', tolko oczeń ždi.* Miękki, liryczny zaśpiew.

Czekaj mnie, a wrócę zdrów,  
Tylko czekaj mnie,  
Gdy przekwitną kiście bzów,  
Gdy naprószy śnieg.  
Czekaj, gdy kominiek zgasł,  
Żar w popiele znikł,  
Czekaj, gdy nikogo z nas  
Już nie czeka nikt.

Nie panowałeś nad łzami i wzruszeniem. Chyba nie rozumiałam wtedy, co chciałeś mi powiedzieć.

OD MIESIĘCY CZUŁAM, ŻE COŚ SIĘ STANIE. Wielokrotnie próbowałam namówić go, żebyśmy zaczęli cieszyć się tym, co mamy. Żeby zostawił zarabianie pieniędzy, przestał się martwić o dzieci, odsunął obowiązki i odpowiedzialność, zwolnił się z poczucia winy. „Zostaw – mówiłam – zostaw to wszystko, pojedźmy gdzieś, odpocznijmy, posiedźmy na plaży lub w lesie, zobaczymy Montevideo albo Lizbonę”. Nie. Jeszcze nie teraz, jeszcze trzeba odłożyć na studia dla Daniela, jeszcze nowa szkoła Nicka, jeszcze narty, jeszcze rowery, jeszcze. I tak się stało.

Podziwiałam Twoją dyscyplinę. Zbudowałeś od nowa swoje życie na obcym gruncie, w nieznanym kraju, bez pomocy. Miałeś niewiele ponad dwadzieścia lat, potrafiłeś czytać, pisać i prowadzić intelektualny dyskurs. Nic z tego nie mogło się przydać w utrzymaniu się na powierzchni angielskojęzycznego raję za oceanem.

Przez pierwsze lata emigracji w Kanadzie miałeš szkorbut i pracowałeś w hurtowni u węgierskiego Żyda, pakując damskie rajstopy. Droga od pończoszarni wiodła przez handel biurowymi kalkulatorami i wykrywaczami dymu. Do przemysłu elektronicznego, własnej firmy i pieniędzy doszedłeś samodzielnie i na własny rachunek. Nikomu nic nie zawdzięczałeś. Twój umysł był stale na najwyższych obrotach. W pogotowiu. Bez przerwy, bez taryfy ulgowej.

Znalazłam zapis w notesie. Z samolotu na trasie Toronto–Warszawa: sobota, 6 listopada 2004.

„Nie myślałam, że staniesz się najważniejszy. Bądźmy razem. Chcę wierzyć, że nadejdzie nasz wspólny czas. Że starczy go dla nas

w zamęcie codzienności. Boję się, że nie doczekamy się tego. Wszyscy dookoła umierają tak szybko i tak bezlitośnie. Pomyśl o tym, kiedy będziesz wybierał dla nas kolejne osobne miesiące”.

WYROK OGŁUSZYŁ MNIE. Zaprzeczył wszystkiemu, w co wierzyliśmy – dwoje wyznawców siły woli.

W chwili, kiedy to piszę, zdaję sobie sprawę, że to nie jest do końca prawda. Zawsze czułam, że muszę być gotowa, gotowa do utraty. Przeżyłam już tyle śmierci, tyle nieodwołalnych rozstań, ostatecznych przeprowadzek. Zawsze wiedziałam, że przyjdzie moment, w którym zostanę wszystkiego pozbawiona. Nie wolno się przyzwyczajać, nie wolno ZA BARDZO chcieć ani kochać, bo wszystko zostanie odebrane. Prędej czy później. To tylko kwestia czasu.

Wyrok ogłuszył mnie. Odebrał wszystko. Nie było szansy ocalenia. Nie dano nam możliwości obrony, żadnych „jeśli”, żadnych warunków do spełnienia, czarnej roboty do odrobienia, cierpienia, które zaowocuje nagrodą. Nie było łaski ani odkupienia. Niczego nie było. Był wyrok. Czysty i jednoznaczny.

H. stale rozmawia przez telefon z innymi. Pociesza, opowiada, co się stanie, jaka operacja, jakie prognozy. Siła, odpowiedzialność, waleczność. Moja czułość go drażni. Jakby miała zburzyć skupienie na linii frontu. Otrząsa się. Denerwuje. Krzyczy. Dużo krzyczy. Że szklanki nie na tej półce, że komputer mruczy i budzi go, że rachunek niezapłacony, nie to, nie tamto, nie tu, nie tak. Wszechwładne, nic nieznaczące drobiazgi. Rozumiem. Wszystko rozumiem. Jest dzielny, tak sobie radzi. Świat wymknął mu się z rąk. Jemu, którego nigdy to nie spotkało. I nie powinno było spotkać.

1 kwietnia, prima aprilis. Śnieg z deszczem, dwa stopie. H. ćwiczy golenie bez lustra pod prysznicem. Prima aprilis. To wszystko nam się śni.

USZKODZENIE PRAWEJ PÓŁKULI GROZI ZABURZENIAMI  
bądź utratą możliwości emocjonalnego oceniania doświadczeń i prze-  
żywanych treści.

Nie było znaków. Przy stale obecnym przeświadczeniu, że coś nam grozi. Poza poczuciem zagrożenia, że kurczy się margines da-  
rowanego nam wspólnego czasu.

Po każdym locie Frankfurt–Hongkong, Warszawa–Toronto,  
Vancouver–Los Angeles – myślałam: jeszcze raz się udało. Dziękowa-  
łam. Oddychałam z ulgą, wiedząc, że odroczenie jest tylko na chwilę.

Nie wiedziałam, CO się stanie. Myślałam o zawale gdzieś na  
lotnisku i o tym, że jako konkubina – oficjalna, co prawda, ale eks-  
-żona wciąż istniała – nawet nie zostanę zawiadomiona. Mieliśmy  
całą sieć szyfrów i wspólnych przyjaciół, ale żyłam w przeświadcze-  
niu, że o tym najważniejszym mogę się na czas nie dowiedzieć, a na  
pewno nie będę miała żadnego wpływu na jego życie po życiu. Jak nie  
miałam na to, żeby przestał tyle pracować, żeby się oszczędzał, żeby  
myślał o nas, a nie o tysiącu innych spraw, które od nas nie zależą.

On miał zawsze poczucie wszechwładzy nad swoim losem. Speł-  
niał plany, kontrolował wybory. Ja trwałam w stwórczym kulcie we-  
wnętrznej siły, ale wiedziałam, że istnieje coś, co nie podda się mojej  
mocy. Nie znałam nazwy tego zagrożenia. Zdawało mi się, że wyrasta  
z przeszłości wojny i getta, stanie się jej lustrem lub echem. To mi  
dawało przeczucie nietrwałości wszelkiego budowania. Jakkolwiek  
nas dotknie i jakkolwiek poznamy, to będzie zagłada.

To jest zagłada.



TO CZASEM WRACA. W śnieżnym zamęciu. W ściegu przeszłości wóczas nieczytelny.

Przed marcową promocją mojej książki w Warszawie padał śnieg. Spieszyliśmy się oboje, byliśmy podnieceni. Lęk z radością, duma z przerażeniem. Oczekiwanie. Wielka chwila. Lata pracy. Lata jego wsparcia.

Spieszyliśmy się – jak przed każdym wyjściem, ważnym wieczorem. Może ja byłam bardziej podenerwowana od niego. Szukałam pantofli, układałam włosy. Perfumy nie pachniały jak trzeba. Poprosiłam, żeby rozciął kieszenie mojego nowego, nienoszonego jeszcze kostiumu. Miałam go za chwilę włożyć. Malowałam się w łazience.

Odciał jedną z nich.

Zaczął krzyczeć, że to powinno być zrobione wcześniej, że ze mną tak zawsze, że w ostatniej chwili. Za wszelką cenę chciał zaprzeczyć swojej niezręczności.

Wiszącą kieszeń przykryłam czerwonym jedwabnym szalem. Nie czytałam znaków.

Bolało go oko. Prowadził auto w zadymce, pewnie, brawurowo jak zawsze. Nie miałam przeczuć. Poczucie spełnienia. Źle spaliśmy. Wyleciał nazajutrz.

ZIEMIA, ŁĄD, IMPERIUM CHOROBY. Zawsze stamtąd wracałam. Moje, nasze wizyty trwały tam krótko, jak najkrócej. Miejsce tymczasowe. Zawsze zdrowieliśmy. Ciężko chorowali i umierali inni.

Nie mieliśmy czasu na chorowanie, działo się tyle ważnych rzeczy, które wymagały naszej uwagi i obecności. Nie traciliśmy czasu na chorobę, na lęk o siebie, o serce, płuca, zęby, głowę. Grypy, anginy, złamane na nartach lub zwichnięte kończyny stosunkowo łatwo dawały się naprawić. „Choroby” bywały uciążliwe, męczące, nudne, z dreszczami, bólem gardła, migreną, z kaszlem i katarem, z trudnością poruszania się lub niemożnością wyjścia z domu. Ale to wszystko było przejściowe. Miało się skończyć. I skończyło się. Gipsy, temblaki, wysypki, mdłości, poty, strupy, migreny. Wizytę na planecie choroby dawało się objąć w przestrzeni życia. To był stracony czas, oddany cierpieniu, które miało minąć za kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt dni. Nigdy nikt nie zarządził inaczej. Nigdy przedtem.

Teraz dostaliśmy prawo stałego pobytu w strefie zagrożenia. Zostaliśmy tu zesłani. Bez odroczenia. Bez prawa apelacji.

„Przynależymy jednocześnie do świata zdrowych i chorych” – pisała Susan Sontag. W naszych ziemskich paszportach wbito obie wizy. Jednym dano przywilej zamieszkiwania planety zdrowych. Dla nich to naturalne. Tak było z nami. Odwiedzaliśmy czasem kraj choroby, ale rzadko, z konieczności, pospiesznie. Żeby jak najszybciej się zeń wydostać. Każdorazowa wizyta, choć krótka i z perspektywą powrotu, wydawała się nam upokorzeniem. Chcieliśmy uciekać. Uciekać do siebie, do ojczyzny zdrowych, gdzie wszystko jest możliwe.

Nigdy nie zatrzymaliśmy się na dłużej w kraju choroby, nie musieliśmy. Nie zostaliśmy tam zesłani ani wygnani. Nie braliśmy

pod uwagę takiej ewentualności – przymusowej emigracji do świata chorych.

Życie przerośnięte tkanką choroby. Jej atak niszczący wszystko. Dynamit. Wybuch. Nie ma miejsca na boczne drogi. Rozsadziło od środka nasz niespełniony los. I wszystko, co mieliśmy – co mamy – stało się ostateczne. Nie będzie więcej, nie tak, jak było. Podróże, ubrania, gesty, obietnice już się nie powtórzą w kształcie sprzed diagnozy. Piosenka Cohena *I'm Your Man*, krawat od Armaniego, bilety do Meksyku, wrotki nad jeziorem, odurzające lilie na każde przywitanie, wszystko inne, inaczej. Nie tak noszone, nie tak widziani, nie tak przeżyte. Nie ten smak. Posmak popiołu. Barwi się nim również przeszłość.

Szpital stał się miejscem życia, nie jak dotąd miejscem szybkich, ukradkowych odwiedzin innych.

Z choroby się wychodzi, tak uczyło doświadczenie. Tu jest inaczej. Ciągłe nie mogę (nie chcę) zaakceptować diagnozy, przyznać się do tej różnicy. Zaprzeczamy chorobie. Wierzymy, że to odwracalne. Siła woli ma nam dać siłę życia.

BYŁEŚ STARSZY ODE MNIE, ALE NIE DRASTYCZNIE. Stawiałam babki w piaskownicy, kiedy oglądałeś się za dziewczynami. Oboje piliśmy wodę sodową z sokiem malinowym z saturatora na rogu Marszałkowskiej i jedliśmy „pańską skórkę po złoty” przy wejściu do praskiego ogrodu zoologicznego. W naszych domach stały na półkach te same książki – celofanowe serie poezji, Biblioteka Jednorożca i Nike, Głowy Wawelskie. Jeździliśmy, choć z kilkuletnim przesunięciem w czasie, na wakacje do ośrodków Funduszu Wczasów Pracowniczych, gdzie nasze matki wycinały nożyczkami papierowe kupony na posiłki.

Pamiętałeś jeszcze majowy kiermasz książki w Alejach Ujazdowskich i budowę Pałacu Kultury, który ja zastałam już jako dar bratniego ZSRR i wokół którego zbierałam pierwsze autografy pisarzy: Aliny i Czesława Centkiewiczów („Żyd polarny” – komentowałeś) i Wojciecha Żukrowskiego.

Poznawałeś stemple na tylnych stronach książek – „egz. okazowy” – jak ja, bo mama, pracownik działu kultury ogólnopolskiego dziennika, dostawała bezpłatne egzemplarze jako swoistą formę deputatu węglowego (znowu Twoje określenie).

Należałeś, bo ja już nie, do ostatniego pokolenia wieku przedtelewizyjnego, pokolenia – jak pisałeś – zafascynowanego giętkością własnej wyobraźni, którą umiała rozhuścić byle garść drukowanych słów.

Oboje byliśmy wychowani w kulcie słowa. Oboje od niego zależni. Od rzeczywistości, jaką jest w stanie stworzyć, emocji, jakie potrafi wywołać.

I jego, i mojemu dzieciństwu towarzyszył dźwięk maszyny do pisania.

OPOWIADAŁEŚ, ŻE PIERWSZĄ WERSJĘ *NASTĘPNEGO DO RAJU*, drukowaną w odcinkach w śląskiej „Panoramie”, kupiłeś, licealista, na Bazarze Różyckiego. Ktoś starannie powycinał z tygodnika fragmenty i powklejał w albumie przeznaczonym do fotografii. Sprzedał Ci ów skarb człowiek o aparycji podejrzanej i zachrypłym głosem, bardziej podobny do postaci z opowiadań Hłaski niż do bukinisty. Zakwalifikował Cię trafnie jako nałogowca i zażądał sumy zawrotnej, za jaką na tymże straganie można było nabyć szwedzką koszulę non-iron. Zapłaciłeś bez wahania. Na książki nigdy nie żałowałeś. Księgarnie traktowałeś w owym czasie, a i później, jako najbardziej atrakcyjny rodzaj sklepu detalicznego.

Nad pożyczonym na jedną noc egzemplarzem *Trzech towarzyszy* Remarque’a, niemal nieosiągalnym w bibliotekach, przesiedziałeś do białego rana, szlochając (Twoje słowo!) nad tragicznym losem umierającej na gruźlicę Patrycji Hollmann.

Twoją pracę maturalną o autorze *Łuku triumfalnego* nagrodzono jako jedną z najlepszych w Warszawie, a jej fragmenty czytano w telewizji. To zamazało haniebną klapę z matematyki i pozwoliło Ci skończyć liceum.

Chciałeś być lekarzem, ale ojciec Cię zniechęcał. Nie wierzył, że dasz radę (dałbyś!). Zacząłeś studiować ekonomię.

PRZECIĘTNA WIELKOŚĆ NASZEGO MÓZGU TO 1400 centymetrów sześciennych (półtora litra mleka, tyle samo whisky i kapuśniaku?). Mózg mężczyzny waży od 1250 do 1750 gramów. To czyni z najbardziej wyrafinowanego organu równowartość półtora kilograma ziemniaków albo tyle samo karkowego schabu? Podobno najcięższy ze zbadanych mózgów miał autor *Rudnina*, Iwan Turgieniew – ponad dwa kilogramy.

Silnie pofałdowana powierzchnia mózgu umożliwia „upakowanie” w czaszce jak największej liczby komórek nerwowych. Najważniejsza ich warstwa, grubości zaledwie 2 do 3 milimetrów, to kora (*cortex*), główny obszar przetwarzania informacji, zwłaszcza tych procesów, które wiążą się ze świadomą reprezentacją. Kora ma dużą powierzchnię (jak olbrzymie pole), więc by mogła zmieścić się w czaszce, musi być ściśnięta, stąd pofałdowanie i bruzdy. To, co w nas najważniejsze, wygląda jak zmięta kartka papieru. Jest niepowtarzalne. Jedyny taki splot.

W operację szliśmy na oślep. Nie chcieliśmy wiedzieć zbyt wiele.

Przednia część mózgu, czyli płat czołowy, zajmuje około 40 procent jego całości, odpowiada za cechy charakteryzujące nas jako ludzi. A więc tu jest siedziba ambicji H. i jego wewnętrznej siły, jego uroku i umiejętności przekonywania. Tu także zmagazynowana jest jego wiedza – w postaci pojęć, w związku z językiem. To wszystko ma pozostać nienaruszone. Podobnie jak wszelkie rodzaje pamięci – epizodyczna, semantyczna, proceduralna, katalogowa.

BĘDZIESZ PAMIĘTAŁ.

Będziesz pamiętał rodziców.

Ojca i matkę. Władka i Halę. Nazywałeś ich zawsze aryjskimi imionami.

Ojciec – z łódzkiej żydowskiej biedy. Jeden z dziewięciorga dzieci Pinkasa Rosenberga. Spał pod stołem. Przedwojenny komunista, do końca zagorzały stalinowiec. Czytywał na głos *Konrada Wallenroda* i poemat Twardowskiego o Wasylu Tiorkinie. Wielbił *Przedwiośnie* Żeromskiego i rosyjskie XIX-wieczne powieści.

Matka – Rywa Kagan, córka Litwaka, drobnego przedsiębiorcy w branży tekstylnej. Rosyjski, podobnie jak żydowski i hebrajski, znała z domu. Racjonalistka. Ceniła Jesienina i impresjonistów. Z nią byłeś bliżej niż z nim.

Będziesz pamiętał, że nazywano Cię Rysio (Hen-ryσιο).

I że nie wymawiałeś głoski „r”.

Psa, białego szpica. I własne znienawidzone futerko ze szpiczastym kapturem.

Służącą Walę, która opalała kurę nad gazem (swąd).

I pierwsze książeczki pisane po rosyjsku. Nie zapomnisz ulubionego Soso.

Będziesz pamiętał dom dzieciństwa na Parkowej, spółdzielcze osiedle w okolicy Łazienek.

Piwnicę z wyrysowanym kopciem świecy znakiem krzyża i napisem: „Tu leży sześciu żołnierzy powstańców, zginęli za Polskę”.

Podwórko, gdzie Cię ochoczo bito, bo nie potrafiłeś wdrapać się na dający schronienie płaski dach śmietnika.

I kiosk Ruchu nieopodał, gdzie wysyłano Cię po prezerwatywy i obserwowano zza płota, jak sobie radzisz (rrrr).

Będziesz pamiętał. „Nowe Czasy”, redakcję radzieckiego tygodnika politycznego, gdzie pracowała matka, złożoną – jak mówiłeś – z samych starych Żydówek. Nazywałeś je wdowami po Berii.

I luksusowy gabinet ojca z rozległym widokiem na park.

Barwne ilustracje z radzieckich albumów, marzenia o Arteku. (Przypis: Artek – prestiżowy rosyjski obóz dla pionierów na Krymie, marzenie dzieci sowieckich i nie tylko).

I opowieści o lodołamaczu „Czeluskin”, który, co prawda, zatonął w 1934, ale lotników radzieckich, którzy uratowali uczestników rejsu, jako pierwszych uhonorowano tytułem bohaterów ZSRR.

Wszystko to będziesz pamiętał. I więcej.



PO WOJNIE SPĘDZONEJ W ZNACZNEJ CZĘŚCI W ROSJI Mojżesz Rosenberg, ojciec H., uzyskał zgodę na używanie aryjskiego nazwiska Władysław Daszkiewicz. Po kilku latach sprawowania funkcji szefa Kancelarii Prezydenta Bieruta został przeniesiony na stanowisko naczelnika wydziału odznaczeń. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam jego podpis na legitymacji Orderu Budowniczych Warszawy, jaki otrzymał mój dziadek inżynier i Szymon (Samuel) Przedborski bodajże w 1949 roku, zrozumiałam, że Isaac Singer miał rację, twierdząc, że przypadek jest (jedyne) maską na twarzy przeznaczenia.

Jakiś korzonek losu już wcześniej nas połączył.

Na to nałożyły się opowieści H. o moim ojcu, którego sprawozdań sportowych słuchał jako chłopak. Kolarstwo było wówczas polskim sportem narodowym, Wyścigiem Pokoju fascynowali się wszyscy. Dzieci na podwórkach grały w kapsle, prześcigając się na lotnych premiach i kolejnych etapach. Naśladowali głos i intonację mojego ojca: „Hallo, hallo, tu helikopter! Mówi...”.

H. grasejował, więc do komentowania go nie dopuszczano. Również kolarze, w barwach których występował, rzadko wygrywali. Wygrywali zawsze Rosjanie.

17 KWIETNIA 2005

Wczoraj o piątej po południu wyciągnęli go z łóżka i kazali wsta-  
wać. Nie minęła doba od operacji. Usiadł. Powoli. Wiruje świat. Wstał.  
Zachwiał się. Stoi. Do krzesła dwa kroki. Zrobił. Usiadł. Głowa  
ciężka w turbanie, zmasakrowana w środku. Siedzi. Zасыpia. Boję  
się, że upadnie. Strach, panika.

Siedzi. Siedzi. Już nie może. Ale trzeba, jak najdłużej, bo płuca,  
bo skrzepy. Siedzi. Boże.

Chciałam zabić tę pielęgniarkę. Ale on – posłuszny pacjent.  
Kazali siedzieć, siedzi. Oczy mu się zamykają, ogromny biały turban  
cięży.

„Nie śpij, nie zasypiaj”. „Nie zasypiam...” Śpi. Boję się, że upadnie.  
„Nie śpij”. Nie śpi. I tak wysiedział pół godziny!

Położyłam go do łóżka. Zasnął.

Dziś chce się już golić i spacerować. Zobaczymy.

Gra bezwzględna. Może rzeczywiście poznałam go dlatego, że-  
byśmy razem odbyli tę drogę. Żeby miał mnie na ten najgorszy czas.

Diagnoza. Wszyscy ją mamy wpisaną w rachunek, jaki wystawia  
los. Co byłoby pomocą? Dłuższe życie, mniejszy ból, ozdrowienie?

Stefan, przyjaciel: „Z istnieniem Boga jeszcze się nie spieszymy.  
Spacer po pokoju. To może Bóg jednak istnieje?”

# Jedna z najpiękniejszych książek o miłości, odchodzeniu i bólu rozłąki.

NOWE, UZUPEŁNIONE

O OBSZERNE POSŁOWIE WYDANIE.

**KUP TERAZ!**

w sprzedaży także

eBOOK

www.marginesy.com.pl

cenę 49,90 zł

9 788366 863866

